

Boi się, kto pierwszy raz umiera

W miasteczku, które leżało między cmentarzem a kołyską, ludzie umierali tylko raz.

Tak przynajmniej mówiono.

Na wzgórzu stał kościół, niżej urząd, jeszcze niżej dom porodów, a za rzeką cmentarz z kamienną bramą. Na bramie wyryto napis:

KAŻDY PRZECHODZI TĘDY RAZ.

Ludzie mijali go od dziecka.

Najpierw z ciekawością.

Potem z lękiem.

Potem z udawaną obojętnością.

A potem coraz ciszej, bo im człowiek starszy, tym mniej potrzebuje żartować o tym, co i tak idzie za nim bez pośpiechu.

W miasteczku uczono dzieci, że życie zaczyna się płaczem, a kończy milczeniem. Że najważniejsze jest żyć porządnie, nie komplikować spraw, nie gubić drogi, nie tracić twarzy, nie przynosić wstydu i nie myśleć za dużo o śmierci.

O innych śmierciach nie mówiono.

Nie było dla nich księgi.

Nie było pogrzebu.

Nie było dzwonów.

Nie było czarnych ubrań ani klepsydr na słupach.

A przecież ludzie umierali w tym miasteczku wiele razy, tylko nikt nie chciał tego widzieć.

Dziewczynka umierała pierwszy raz, gdy matka mówiła:

— Nie bądź taka.

I od tamtej chwili dziewczynka zaczynała żyć jako „taka, jak trzeba”.

Chłopiec umierał pierwszy raz, gdy ojciec odwracał twarz od jego łez.

I od tamtej chwili chłopiec zaczynał żyć jako „ten, który sobie radzi”.

Kobieta umierała pierwszy raz, gdy zrozumiała, że jej pragnienie ma mniejszą wartość niż cudzy spokój.

I od tamtej chwili żyła jako „ta, która nie robi kłopotu”.

Mężczyzna umierał pierwszy raz, gdy odkrył, że kochają go głównie wtedy, gdy dowozi.

I od tamtej chwili żył jako „ten, który musi być potrzebny”.

Ale nikt nie dzwonił wtedy dzwonami.

Nie mówiono:

umarło w niej dziecko.

umarła w nim miękkość.

umarło w niej prawo do odmowy.

umarł w nim odpoczynek.

Mówiono:

dojrzał.

zmądrzała.

spoważniał.

nauczyła się życia.

taki już jest.

Właśnie w tym miasteczku żył człowiek imieniem Feliks.

Imię miał lekkie, prawie wesołe, ale życie nosił ostrożnie.

Był człowiekiem, który nie sprawiał problemów. Przychodził na czas. Oddawał pożyczone rzeczy w lepszym stanie, niż je dostał. Nie prosił dwa razy. Nie mówił o sobie więcej, niż trzeba. Płacił rachunki przed terminem. Potrafił słuchać cudzych kłopotów i nie dokładać swoich.

Ludzie mówili:

— Feliks jest stabilny.

— Na Feliksie można polegać.

— Feliks nie panikuje.

— Feliks zawsze wie, co zrobić.

Feliks nie zawsze wiedział, co zrobić.

Ale bardzo wcześnie nauczył się nie pokazywać chwili, w której nie wie.

Jego pierwsza śmierć wydarzyła się, gdy miał sześć lat.

Nie wiedział wtedy, że to śmierć.

Myślał, że to zwykły wieczór.

Ojciec wrócił późno. W domu pachniało zupą i napięciem. Matka mówiła ciszej niż zwykle, a cisza matki zawsze oznaczała, że w domu trzeba ostrożniej oddychać.

Feliks chciał pokazać ojcu rysunek.

Narysował dom, drzewo i człowieka z bardzo długimi rękami, bo wydawało mu się, że dobre ręce powinny sięgać daleko.

Ojciec spojrział na kartkę, ale nie zobaczył rąk.

Zobaczył krzywe okno.

— Co to jest? — zapytał.

— Dom.

— Domy tak nie wyglądają.

Feliks poczuł, że musi coś naprawić.

— To taki dom, który...

— Nie tłumacz. Jak robisz, rób porządnie.

Ojciec oddał kartkę.

Nie krzyknął.

Nie uderzył.

Nie wydarzyło się nic, co ktoś mógłby nazwać tragedią.

A jednak tego wieczoru w Feliksie coś położyło się na ziemi.

Mały chłopiec, który chciał pokazać rysunek nie po to, żeby go oceniono, tylko żeby ktoś przez chwilę zobaczył jego świat, zamilkł.

Od tamtej pory Feliks nie przynosił ojcu rysunków.

Przynosił wyniki.

Świadectwa.

Naprawione rzeczy.

Później pieniądze.

Później ciszę.

To była jego pierwsza śmierć.

Nie ostatnia.

Druga wydarzyła się, gdy miał dwanaście lat i matka powiedziała:

— Nie dokładaj ojcu. On ma ciężko.

Feliks nie wiedział, co dokładnie dokłada.

Siebie?

Pytania?

Smutek?

Chęć, żeby ktoś usiadł obok niego?

Od tamtej pory zaczął ważyć własną obecność, zanim wszedł do pokoju.

Czy mogę teraz powiedzieć?

Czy mogę zapytać?

Czy mogę usiąść?

Czy to nie będzie za dużo?

Tak umarła w nim część, która wchodziła do świata bez pytania o pozwolenie.

Trzecia śmierć przyszła później, kiedy zakochał się pierwszy raz.

Dziewczyna miała na imię Helena i śmiała się tak, jakby w jej ciele było więcej powietrza niż w innych ludziach. Feliks czuł przy niej dziwną miękkość, której nie potrafił nazwać. Chciał z nią rozmawiać długo, chodzić bez celu, dotknąć jej dłoni i nie udawać, że to przypadek.

Pewnego dnia powiedziała:

— Jesteś dobry, ale trochę jak zamknięty dom.

Uśmiechnęła się przy tym łagodnie.

Nie chciała go zranić.

Ale zdanie weszło głęboko.

Zamiast zapytać, które drzwi są zamknięte, Feliks postanowił stać się jeszcze bardziej porządny.

Helena odeszła.

A on powiedział sobie:

— Tak będzie lepiej.

Wtedy umarł w nim młody mężczyzna, który mógłby poprosić:

zostań chwilę przy tych drzwiach, ja nie wiem, jak je otworzyć.

Czwarta śmierć przyszła w pracy.

Awansował.

Dostał gabinet, pieczętkę, odpowiedzialność i ludzi, którzy zaczęli przynosić mu swoje nierozstrzygnięcia w teczkach.

Był skuteczny.

Tak skuteczny, że nikt nie pytał, czy jeszcze żyje poza skutecznością.

Nie pytał też sam.

Człowiek bardzo zajęty rzadko słyszy, że któraś część jego życia już leży pod ścianą i nie oddycha.

Mijały lata.

Feliks nie chorował ciężko.

Nie miał wielkich katastrof.

Nie rozpadł się widowiskowo.

Tacy ludzie są szczególnie trudni do odczytania, bo ich martwienie się życiem wygląda jak odpowiedzialność.

A potem przyszedł dzień, w którym wszystko zewnątrz było zwyczajne.

Rano poszedł do pracy.

Wypił kawę.

Odpowiedział na wiadomości.

Podpisał dokument.

Zadzwoił do księgowej.

Zamknął jedną sprawę.

Otworzył drugą.

I nagle, w połowie zdania, nie mógł dalej mówić.

Nie zabrakło mu słów.

Zabrakło mu człowieka, który dotąd mówił.

Siedział przy biurku z telefonem w ręku i poczuł, że w środku nie ma drogi.

Nie ból.

Nie strata.

Nie żałoba.

Nie zwykłe zmęczenie.

Raczej puste miejsce pod całym porządnym życiem.

Jakby budynek stał nadal, ale wyprowadzono z niego mieszkańca.

Po południu wyszedł wcześniej.

Pierwszy raz od lat.

Nikt nie wiedział, co powiedzieć.

Bo Feliks nie wychodził wcześniej.

Feliks zamykał.

Feliks kończył.

Feliks zostawał.

Feliks dowoził.

Tego dnia nie dowiózł.

Szedł przez miasto i czuł, że ludzie patrzą na niego zwyczajnie. To było prawie obraźliwe. Jak można patrzeć zwyczajnie na człowieka, który właśnie umiera?

A jednak nic w nim nie krwawiło.

Nie upadł.

Nie zbladł.

Nie potrzebował karetki.

Przynajmniej nie takiej, która wozi ciało.

Doszedł do starej części miasteczka, gdzie ulice były węższe, a domy pamiętały więcej niż ludzie, którzy w nich mieszkali.

Na końcu jednej z ulic zobaczył budynek, którego wcześniej nie zauważał.

Nie był ani domem, ani kościołem, ani urzędem.

Nad drzwiami wisiała mała tabliczka:

DOM PIERWSZEJ ŚMIERCI

Feliks pomyślał, że to żart.

Potem, że może zakład pogrzebowy.

Potem, że powinien iść dalej.

Ale nogi zatrzymały się same.

Wszedł.

W środku nie było trumien.

Nie było kwiatów.

Nie było świec.

Był długi korytarz, kilka drewnianych krzeseł i starszy mężczyzna siedzący przy stole.

Miał twarz kogoś, kto wiele razy żegnał ludzi, którzy nadal chodzili po świecie.

— Dzień dobry — powiedział Feliks.

— To się okaże — odpowiedział mężczyzna.

Feliks nie wiedział, czy wyjść.

— Co to za miejsce?

— Dla tych, którzy myślą, że umierają pierwszy raz.

— Ja nie umieram.

Starszy mężczyzna spojrzał na niego spokojnie.

— W takim razie po co pan wszedł?

Feliks usiadł.

Nie planował tego.

Ciało usiadło, zanim ambicja zdążyła odmówić.

— Nie wiem, co się ze mną dzieje — powiedział.

— To brzmi uczciwie.

— Mam wrażenie, że coś we mnie się kończy.

— Tak.

— Ale przecież nic się nie stało.

— To zdanie mówi wielu umierających za życia.

Feliks poczuł złość.

— Nie jestem umierający za życia.

— To dobrze.

— Pan mnie nie zna.

— Znam ten moment.

— Jaki?

— Kiedy forma, która przez lata trzymała człowieka przy miejscu, zaczyna pękać. Człowiek myśli wtedy, że traci życie. A często traci tylko kształt, w którym życie nie mogło już oddychać.

Feliks chciał odpowiedzieć, ale nie znalazł właściwego tonu.

— Ja się boję — powiedział w końcu.

To zdanie było tak proste, że zawstydziło go bardziej niż wszystko.

Starszy mężczyzna skinął głową.

— Boi się, kto pierwszy raz umiera.

— Każdy umiera pierwszy raz.

— Fizycznie tak. Ale za życia ludzie umierają wiele razy. Tylko pierwsza świadoma śmierć przeraża najbardziej.

— Świadoma?

— Tak. Bo wcześniejsze odbyły się bez pana zgody i bez nazwy. Dziecko umierało, a dorośli mówili: dojrzewa. Pragnienie umierało, a dom mówił: rozsądek. Głos umierał, a rodzina mówiła: grzeczność. Odpoczynek umierał, a świat mówił: odpowiedzialność. Teraz coś umiera na pana oczach. Dlatego się pan boi.

Feliks siedział nieruchomo.

— Co według pana we mnie umiera?

— Nie wiem.

— Myślałem, że pan wie.

— Gdybym wiedział za pana, byłbym kolejnym urzędnikiem od śmierci. Tutaj się nie wpisuje gotowych nazw. Tutaj się czuwa przy tym, co kończy własny kształt.

Starszy mężczyzna wstał i otworzył drzwi po lewej stronie.

— Proszę.

Feliks wszedł do dużej sali.

Nie było tam ludzi.

Były ubrania.

Dziecięca koszula powieszona na małym krześle.

Mundur szkolny.

Garnitur.

Sukienka komunijna.

Fartuch.

Robocza kurtka.

Habit.

Ślubna suknia.

Lekarski kitel.

Policyjny mundur.

Matczyny szlafrok.

Ojców płaszcz.

Setki ubrań wiszących na ścianach, złożonych na ławach, położonych ostrożnie na podłodze.

— Co to jest? — zapytał Feliks.

— Formy, w których ludzie żyli dłużej, niż mogli.

Feliks dotknął rękawa małej koszuli.

— Dziecko też?

— Szczególnie dziecko. Czasem człowiek przez całe życie nosi koszulę dziecka, które miało nie płakać. Tylko zakłada na nią marynarkę dorosłości.

Feliks poczuł ucisk w gardle.

Starszy mężczyzna wskazał na pusty hak.

— Tam można powiesić to, co właśnie umiera.

— Ja nie mam niczego do powieszenia.

— Każdy tak mówi. Forma nie zawsze jest z materiału.

— A z czego?

— Z obowiązku. Z dobrego imienia. Z roli. Z lęku. Z posłuszeństwa. Z bycia potrzebnym. Z bycia skrzywdzonym. Z bycia silnym. Z bycia niezastąpionym. Z bycia tym, który zawsze wie.

Feliks odwrócił się szybko.

To ostatnie zdanie było zbyt blisko.

— Nie jestem kimś, kto zawsze wie.

— A czy wolno panu nie wiedzieć?

Feliks milczał.

Nie wolno.

Oczywiście, że nie wolno.

Nie w jego pracy.

Nie w rodzinie.

Nie wobec matki, która mówiła: ty zawsze byłeś rozsądny.

Nie wobec ludzi, którzy przychodzili z problemami.

Nie wobec samego siebie.

Mógł nie wiedzieć przez chwilę, ale zaraz musiał zamienić tę chwilę w plan.

— Chyba umiera ten, który zawsze wie — powiedział powoli.

Starszy mężczyzna skinął głową.

— To poważna śmierć.

— Dlaczego tak boli?

— Bo ta forma pana chroniła.

— Przed czym?

— Przed bezradnością. Przed dzieciństwem. Przed proszeniem. Przed tym, że ktoś mógłby zobaczyć pana bez gotowej odpowiedzi.

Feliks poczuł, jakby ktoś zdjął mu z twarzy skórę, ale bez przemocy.

— A co będzie, jeśli on umrze?

— Nie wiem.

— Pan ciągle mówi, że nie wie.

— Bo śmierć formy nie daje od razu instrukcji na nowe życie.

— To mało pomocne.

— Prawdziwe przejścia rzadko są pomocne w pierwszej chwili. Najpierw odbierają fałszywą pomoc.

Wrócili do korytarza.

Starszy mężczyzna zaprowadził Feliksa do drugiej sali.

Tam stały lustra.

Ale nie odbijały twarzy tak, jak zwykle lustra.

W pierwszym Feliks zobaczył siebie jako chłopca z rysunkiem.

W drugim jako nastolatka ważącego własną obecność.

W trzecim jako młodego mężczyznę, który nie poprosił Heleny, żeby została.

W czwartym jako pracownika siedzącego do późna przy biurku, choć w pokoju nie było już nikogo oprócz lampy i jego zmęczenia.

W piątym zobaczył siebie z dzisiejszego dnia.

Telefon w ręku.

Przerwane zdanie.

Pusty środek.

— To wszystko ja? — zapytał.

— Tak.

— Dlaczego wygląda, jakby oni wszyscy czekali?

— Bo żadnego z nich pan nie pochował.

— Przecież oni nie umarli.

Starszy mężczyzna spojrzał na niego z łagodnym smutkiem.

— Właśnie.

Feliks nie rozumiał.

A potem zrozumiał zbyt szybko.

Nie pożegnał żadnej z dawnych form. Nie opłakał chłopca, który przestał przynosić rysunki. Nie pochował syna, który zaczął ważyć siebie przed wejściem do pokoju. Nie pożegnał młodego mężczyzny, który zamknął dom, zanim ktoś zdążył zapukać. Nie zauważył człowieka, który umarł powoli w skuteczności.

Wszyscy zostali w nim.

Nie jako żywi.

Nie jako martwi.

Jako niedokończone przejścia.

— Co się z nimi robi? — zapytał.

— Nie naprawia się ich.

— To co?

— Uznaje, że istnieli. Uznaje, że coś w nich się skończyło. Uznaje, że nie można już dalej żyć tak, jakby ich śmierć była dojrzałością.

Feliks podszedł do pierwszego lustra.

Chłopiec trzymał rysunek domu z długimi rękami.

— To był dobry rysunek — powiedział Feliks.

Chłopiec nie zareagował.

— Nie dlatego, że był poprawny — dodał po chwili. — Dlatego, że był twój.

W lustrze coś drgnęło.

Nie uśmiech.

Raczej oddech.

Feliks podszedł do drugiego.

— Nie powinienes być ważyć siebie przed wejściem do pokoju — powiedział do nastolatka. — To dorośli powinni byli zrobić miejsce.

Nastolatek spojrzał na niego podejrzliwie.

Jak patrzy ktoś, komu bardzo długo mówiono, że ma nie przeszkadzać.

Feliks podszedł do trzeciego lustra.

Młody mężczyzna stał przed Heleną.

Milczał.

Feliks położył dłoń na zimnej powierzchni.

— Mogłeś poprosić — powiedział.

W lustrze młody mężczyzna odpowiedział bezgłośnie:

bałem się.

Feliks skinął głową.

— Wiem.

Przy czwartym lustrze nie umiał długo mówić.

Dorosły Feliks przy biurku wyglądał najbardziej znajomo.

I najbardziej obco.

— Byłeś potrzebny — powiedział w końcu. — Ale to nie znaczy, że byłeś kochany wtedy, kiedy byłeś najbardziej użyteczny.

Te słowa złamały coś w sali.

Nie głośno.

Jak pęknięcie cienkiego lodu na wodzie, która już dawno chciała ruszyć.

Feliks usiadł na podłodze.

Starszy mężczyzna nie podnosił go.

Nie pocieszał.

Nie powiedział:

— Wszystko będzie dobrze.

Bo przy pierwszej śmierci takie zdania są często nietaktem.

Człowiek nie potrzebuje wtedy gwarancji, że przeżyje.

Potrzebuje kogoś, kto nie ucieknie, gdy nie wiadomo jeszcze, kto przeżyje.

— Czy ja umieram? — zapytał Feliks.

— Tak.

— Kto?

— Ten, który musiał zawsze wiedzieć, żeby nie poczuć, jak bardzo kiedyś nikt nie wiedział, co z nim zrobić.

Feliks płakał cicho.

Płacz był dziwny.

Nie jak rozpacz.

Raczej jak pierwszy deszcz na ziemi, która zbyt długo udawała kamień.

— Boję się — powiedział.

— Wiem.

— Co będzie potem?

— Po pierwszej śmierci często nie ma od razu „potem”. Jest przerwa.

— Pustka?

— Przestrzeń.

— Dla czego?

— Dla tego, co nie mogło żyć w starej formie.

Feliks zamknął oczy.

W tej ciemności zobaczył bramę cmentarza.

Każdy przechodzi tędy raz.

Nagle to zdanie wydało mu się ubogie.

Może ciało tak.

Ale życie?

Życie przechodzi przez wiele bram.

Przez utratę dziecka w sobie.

Przez koniec roli.

Przez odejście z miłości, która była głównie lękiem.

Przez utratę pracy, która dawała twarz.

Przez śmierć rodzica, którego obecność nawet niedobra nadal porządkowała świat.

Przez odpadnięcie wiary, która była bardziej posłuszeństwem niż spotkaniem.

Przez koniec cierpienia jako opowieści o sobie.

Przez zdjęcie habitu znikania.

Przez pierwszy odpoczynek bez winy.

Przez pierwsze „nie wiem” wypowiedziane bez natychmiastowej poprawki.

Za każdym razem coś umiera.

I za każdym razem człowiek może pomyśleć:

to koniec mnie.

A czasem to tylko koniec więzienia, które długo udawało dom.

Po długiej chwili starszy mężczyzna podał Feliksowi małą świecę.

— Po co?

— Jeśli chce pan, może pan zapalić ją dla tego, który zawsze wiedział.

— Przecież on był problemem.

— Nie. Był ratunkiem. Tylko za długo pracował.

Feliks wziął świecę.

To zdanie było ważne.

Nie pogrzebać z pogardą.

Nie powiedzieć: fałszywy ja, maska, obrona, neurotyczny mechanizm.

Nie.

Ten, który zawsze wiedział, uratował go kiedyś przed bezradnością. Przed chaosem domu. Przed zawstydzeniem. Przed spojrzeniem ojca. Przed ciężarem matki. Przed pytaniami, na które nikt nie odpowiadał.

Nie trzeba niszczyć dawnych form z nienawiścią.

Trzeba je odprowadzić, kiedy przestały służyć życiu.

Feliks zapalił świecę.

Postawił ją pod pustym hakiem w sali ubrań.

Nie miał materialnego płaszcza.

Więc zdjął coś innego.

Wyobraził sobie ciężką, niewidzialną marynarkę, którą nosił od lat: marynarkę człowieka, który zawsze wie. Miała kieszenie pełne cudzych problemów, kalendarz z zadaniami, notes z planami awaryjnymi, zapasowe zdania na każdą sytuację i twardy kołnierz, który nie pozwalał odwrócić głowy ku własnemu dziecku.

Powiesił ją na haku.

Oczywiście nadal stał w koszuli.

Nadal był dorosły.

Nadal miał pracę, mieszkanie, rachunki i ludzi, którzy jutro będą czegoś od niego chcieli.

Ale coś zostało zdjęte.

Nie całkiem.

Nie ostatecznie.

Wystarczająco, żeby poczuć chłód na karku.

— I co teraz? — zapytał.

— Teraz pan nie zakłada jej od razu z powrotem.

— A jeśli będę musiał?

— Pewnie czasem pan będzie.

— To znaczy, że nic się nie zmieni?

— Nie. To znaczy, że śmierć formy nie zawsze oznacza, że nigdy jej pan nie użyje. Oznacza, że przestaje pan mylić ją z sobą.

Feliks wyszedł z Domu Pierwszej Śmierci późnym wieczorem.

Miasto było to samo.

Sklep na rogu zamykano.

Ktoś prowadził psa.

W oknach paliły się lampy.

Za rzeką ciemniał cmentarz.

Na bramie nadal widniał napis:

KAŻDY PRZECHODZI TĘDY RAZ.

Feliks zatrzymał się przed nią.

Nie wszedł.

Nie musiał.

Spojrzał na napis i pomyślał, że powinno być inaczej.

Ciało przechodzi tędy raz.

Życie uczy się przechodzić wiele razy.

Wrócił do domu pieszo.

Nie spieszył się.

Po drodze czuł lęk.

Nie zniknął.

Czasem pierwsza śmierć nie kończy się odwagą, tylko uczciwszym lękiem.

To też było nowe.

Nie musiał natychmiast zamienić lęku w plan.

W domu nie włączył od razu komputera.

Nie sprawdził wiadomości.

Usiadł przy stole.

Na kartce napisał:

Boi się, kto pierwszy raz umiera.

Potem długo patrzył na to zdanie.

Dopisał niżej:

Nie dlatego, że śmierć jest zawsze końcem życia.

Dlatego, że za pierwszym razem człowiek nie wie jeszcze, czy umiera on, czy tylko kształt, w którym nie mógł już żyć.

Następnego dnia poszedł do pracy.

Ludzie zauważyli, że jest cichszy.

Ktoś zapytał:

— Wszystko w porządku?

Feliks prawie odpowiedział:

— Tak.

Stare słowo było gotowe.

Ale zatrzymał się.

Nie chciał robić z biura sali zwierzeń.

Nie chciał też kłamać dawną formą.

Powiedział:

— Nie wszystko.

Człowiek, który pytał, nie wiedział, co zrobić.

To było widać.

Feliks po raz pierwszy nie uratował go natychmiast przed tą niewiedzą.

Pozwolił, żeby między nimi przez chwilę stało:

nie wszystko.

Potem dodał:

— Ale jestem.

To wystarczyło.

Przez kolejne tygodnie Feliks uczył się małych śmierci.

Nie odpowiadać od razu.

Nie wiedzieć.

Nie brać sprawy tylko dlatego, że ktoś uznał, iż on najlepiej sobie poradzi.

Nie tłumaczyć każdego odpoczynku.

Nie zamieniać bezradności w plan przedwcześnie.

Nie udawać, że stara marynarka jest jego skórą.

Czasem wracał do niej.

Oczywiście.

Dawne formy mają zapach bezpieczeństwa. Człowiek sięga po nie, gdy świat robi się zbyt jasny, zbyt chaotyczny, zbyt wymagający. Feliks czasem znów wiedział za szybko. Znów ratował. Znów naprawiał. Znów szedł spać jako funkcja.

Ale teraz czasem orientował się wcześniej.

Zatrzymywał rękę na kłamce.

Oddychał.

Pytał:

czy to ja?

czy marynarka?

czy życie?

czy dawny ratunek?

Nie zawsze znał odpowiedź.

Ale samo pytanie było już miejscem po pierwszej śmierci.

Po kilku miesiącach spotkał Helenę.

Przypadkiem.

Na rynku.

Miała krótsze włosy i dziecko, które ciągnęło ją za rękę w stronę straganu z jabłkami.

Poznali się od razu.

Rozmawiali chwilę.

O niczym i o wszystkim, jak ludzie, którzy kiedyś stali blisko drzwi, ale żadne nie umiało ich otworzyć.

Na koniec Helena powiedziała:

— Jesteś jakiś inny.

Feliks uśmiechnął się.

— Trochę umarłem.

Helena spojrzała zaskoczona.

Potem, nie wiedząc czemu, nie zaśmiała się.

— I dobrze? — zapytała.

Feliks pomyślał chwilę.

— Nie wiem jeszcze.

To było najprawdziwsze.

Helena skinęła głową.

— Może dobrze, że nie wiesz od razu.

Dziecko pociągnęło ją mocniej.

Odeszła.

Feliks patrzył za nimi bez żalu, który każe wracać, i bez dumy, która każe udawać, że nic nie znaczyło.

Kolejna mała śmierć: pozwolić, żeby coś było ważne, choć nie wróci.

Jesienią zmarła jego matka.

To była śmierć właściwa, ta z lekarzem, dokumentem, pogrzebem, ziemią, kwiatami, ludźmi mówiącymi zbyt podobne zdania.

Feliks stał przy grobie i czuł dziwną różnicę.

Bolało.

To była strata.

Ale nie była taka sama jak tamten dzień w biurze.

Tu droga była okrutna, ale jasna: pożegnać matkę, której już nie będzie.

Tam wcześniej nie było drogi, bo umierał w nim kształt, który jeszcze chodził.

Po pogrzebie ludzie podchodzili.

— Teraz musi pan być silny.

Kiedyś przyjąłby to zdanie jak rozkaz.

Teraz poczuł, że nie.

Nie musi.

Może być synem.

Może być zmęczony.

Może płakać.

Może nie wiedzieć, co czuje wobec kobiety, która dawała mu życie i jednocześnie uczyła ważyć własną obecność.

Wieczorem, sam w mieszkaniu, powiedział głośno:

— Mamo, umarłaś. Ale część mnie umarła przy tobie dużo wcześniej.

To zdanie nie było oskarżeniem.

Było rozdzieleniem śmierci.

Jej śmierć.

Jego dawne śmierci.

Nie trzeba ich było mieszać w jedno wielkie cierpienie.

Można było każdej oddać właściwe miejsce.

W nocy śnił mu się Dom Pierwszej Śmierci.

Tym razem w sali ubrań nie było pustego haka.

Na haku wisiła jego niewidzialna marynarka.

Ale obok niej pojawiło się coś jeszcze.

Mała dziecięca koszula z plamą po farbie.

Nie pamiętał jej wcześniej.

Podszedł.

Na krześle leżał rysunek domu z długimi rękami.

W śnie chłopiec spojrzał na niego i zapytał:

— Czy teraz możemy narysować inaczej?

Feliks obudził się z mokrą twarzą.

Rano kupił blok i kredki.

Czuł się głupio.

Dorósł mężczyzna, który przez lata podpisywał dokumenty, siedział przy stole i rysował dom.

Tym razem okna znów były krzywe.

Ręce człowieka sięgały aż do drzewa.

Nie poprawił ich.

To był może pierwszy rysunek po tamtej śmierci.

Nie był ładny.

Był żywy.

Po roku Feliks wrócił do Domu Pierwszej Śmierci.

Drzwi były otwarte.

Starszy mężczyzna siedział przy tym samym stole.

— Myślałem, że pan nie wróci — powiedział.

— Ja też.

— Kto teraz umiera?

Feliks usiadł.

— Chyba ten, który myślał, że po pierwszej śmierci będzie już umiał umierać spokojnie.

Starszy mężczyzna uśmiechnął się.

— To dobra śmierć.

— Każda jest taka trudna?

— Nie. Niektóre są trudniejsze.

— Pocieszające.

— Ale po pierwszej człowiek ma już jedną wiedzę.

— Jaką?

— Że lęk nie zawsze mówi prawdę o końcu.

Feliks spojrzał w stronę sali luster.

— Bo życie przeżyło?

— Nie całe stare życie. Ale coś żywego przeszło.

Milczeli.

Za oknem szło popołudnie.

— Czy kiedyś przestanę się bać?

Starszy mężczyzna potrząsnął głową.

— Nie wiem. Może nie chodzi o to, żeby się nie bać. Może chodzi o to, żeby za każdym razem pytać: co naprawdę umiera?

— A jeśli odpowiedź brzmi: ja?

— Wtedy trzeba słuchać bardzo uważnie, czy mówi życie, czy stara forma, która nie chce oddać władzy.

Feliks zapamiętał to.

Od tamtej pory, gdy coś w nim się kończyło, nie mówił od razu:

umieram.

Pytał:

co umiera?

Czasem umierała pycha.

Czasem dawna nadzieja.

Czasem rola.

Czasem obraz siebie.

Czasem oczekiwanie wobec kogoś, kto nigdy nie mógł dać tego, czego Feliks czekał.

Czasem umierał lęk, choć krzyczał, jakby umierało całe życie.

Czasem umierało coś naprawdę cennego.

Wtedy nie przyspieszał.

Uczył się robić pogrzeby właściwym rzeczom.

Nie grzebać życia razem z formą.

Nie ratować formy kosztem życia.

Nie nazywać każdej śmierci katastrofą.

Nie udawać, że przejście nie boli.

Po latach, gdy Feliks sam był już stary, ludzie zaczęli do niego przychodzić.

Nie dlatego, że ogłosił się mędrce.

Tacy są najgorsi.

Przychodzili, bo potrafił siedzieć przy czyimś końcu bez natychmiastowego pocieszania.

Pewna kobieta powiedziała:

— Moje małżeństwo się kończy. Boję się, że umrę.

Feliks zapytał:

— Kto w pani umiera?

Płakała długo.

Potem powiedziała:

— Ta, która wierzyła, że jeśli zostanie wystarczająco długo, ktoś wreszcie ją wybierze.

Feliks skinął głową.

— Trzeba ją pożegnać z szacunkiem. Ona bardzo długo czekała.

Przyszedł mężczyzna, który stracił stanowisko.

— Bez pracy jestem nikim.

Feliks zapytał:

— A kto umarł razem ze stanowiskiem?

Mężczyzna odpowiedział po chwili:

— Ten, którego ojciec widział tylko wtedy, kiedy odnosił sukces.

— To nie jest nikt — powiedział Feliks. — To syn czekający na oczy ojca.

Przyszła młoda dziewczyna, która powiedziała:

— Odeszłam z zakonu. Boję się, że zdradziłam Boga.

Feliks zapytał:

— A co umarło?

— Chyba ta, która myślała, że Bóg kocha ją najbardziej wtedy, kiedy znika.

Feliks zamknął oczy.

— To może nie Bóg umarł. Może umarła twarz, którą Mu założono.

Przychodzili różni.

I każdy bał się jak ten, kto umiera pierwszy raz.

Bo dla każdego jego śmierć była pierwsza.

Nikt nie może umrzeć cudzym przejściem.

Można słuchać opowieści, można mieć język, można znać zdania, można nawet widzieć, że inni przeszli przez podobne bramy. Ale gdy własna forma zaczyna pękać, ciało i tak pyta:

czy ja zniknę?

czy coś zostanie?

czy po tym będzie powietrze?

czy to koniec?

Feliks nigdy nie odpowiadał za szybko.

Mówił czasem:

— Boi się, kto pierwszy raz umiera.

A potem dodawał:

— Posiedźmy przy tym, co umiera. Nie decydujemy jeszcze, że to całe życie.

Pod koniec jego dni ktoś zmienił napis na cmentarnej bramie.

Nie wiadomo kto.

Może dzieci, które słuchały jego opowieści.

Może stary grabarz.

Może sam Feliks nocą, choć miał już słabe nogi.

Na kamieniu, pod dawnym zdaniem, pojawił się drugi napis:

CIAŁO PRZECHODZI TĘDY RAZ.

ŻYCIE UCZY SIĘ PRZECHODZIĆ WIELE RAZY.

Nie wszystkim się to podobało.

Proboszcz uznał napis za niejasny.

Urzędnik za niezgodny z rejestrem.

Niektórzy mówili, że śmierci nie należy komplikować.

Inni zatrzymywali się przed bramą dłużej niż zwykle.

Szczególnie ci, którzy właśnie stracili coś, co nie miało ciała, ale miało nad nimi władzę.

Rolę.

Złudzenie.

Dawny obowiązek.

Nadzieję, która była więzieniem.

Cierpienie, które stało się tożsamością.

Posłuszeństwo, które nie było już słuchaniem.

Siłę, która przestała prowadzić.

Pewnego ranka znaleziono Feliksa siedzącego przy stole.

Przed nim leżał rysunek domu z bardzo długimi rękami.

Okna były krzywe.

Drzwi otwarte.

Na odwrocie napisał:

Pierwszy raz bałem się, bo myślałem, że umieram cały.

Potem odkryłem, że życie czasem zdejmuję ze mnie kształty, w których nie mogło już oddychać.

Nie każda śmierć jest końcem.

Nie każda forma zasługuje na ocalenie.

Nie każdy lęk wie, co naprawdę ginie.

Pochowano go za rzeką.

Ludzie przyszli licznie.

Niektórzy płakali.

Niektórzy milczeli.

Niektórzy bali się własnych śmierci, które czekały w nich bez nazwy.

Starszy mężczyzna z Domu Pierwszej Śmierci stał pod drzewem.

Ktoś zapytał go:

— Pan się nie boi?

— Boję się — odpowiedział.

— Przecież pan tyle widział.

— Właśnie dlatego wiem, że każda śmierć ma swój pierwszy raz.

Potem podeszedł do grobu, położył na ziemi małą świecę i powiedział cicho:

— Feliksie, tym razem umarło ciało. Resztę odprowadzałeś przez całe życie.

Wiatr poruszył trawę.

Nie było znaku.

Nie było wielkiego światła.

Był zwykły dzień.

I może właśnie dlatego ludzie zostali jeszcze chwilę.

Bo po raz pierwszy zobaczyli, że cmentarz nie jest jedynym miejscem, gdzie trzeba przychodzić z szacunkiem.

Czasem z takim samym szacunkiem trzeba stanąć przy człowieku, w którym umiera dobra córka, silny syn, posłuszna zakonnica, wieczny ratownik, cierpiący jako rola, ciało przed komisją, mężczyzna od wyniku, kobieta od spełniania, dziecko czekające na oczy rodzica.

Trzeba wtedy nie mówić za szybko:

przesadzasz.

To tylko zmiana.

Będzie dobrze.

Weź się w garść.

Nie ma czego się bać.

Bo jest czego.

Boi się, kto pierwszy raz umiera.

Ale można usiąść obok i zapytać ciszej:

co w tobie naprawdę umiera?

A potem poczekać.

Niech życie samo pokaże, czy traci siebie, czy tylko zdejmie kolejny kształt, który przez zbyt długi czas udawał dom.